Nr. 5. Lwów, — 1882 r. Rok V.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE WYCHODZI TRZY RAZY NA MIESIAC: 10., 20. i 1. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Prenumerata wynosi wraz z bezpłatnemi premiami i dodatkami we Lwowie:

rocznie	9 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 50 „
kwartalnie	2 „ 25 „
miesięcznie	— „ 75 „

Na prowincji (z przesełką pocztową):

rocznie	10 zł. 20 ct.
półrocznie	5 „ 10 „
kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	„ 85 „

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 6 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełac prenumeratę przekazami pocztowymi.

Numer pojedynczy 30 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja Dziennika dla Wszystkich przy ulicy Zygmuntowskiej Nr. 7. c. gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesłać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji **Dziennika dla Wszystkich we Lwowie.** — Listy powinny być frankowane.

Z- granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse, A. Oppelik Stubenbastei ..; Rotter et Comp. I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji; Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clement 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



KSIĄDZ SYLWESTER SEMBRATOWICZ

Biskup lwowski obrządku grecko-katolickiego.

(*Rysowane podług fotografji Podolskiego we Lwowie*). Patrz życiorys na odwrotnej stronnicy.

Ks. Sylwester Sembratowicz

biskup lwowski obrz. grec. katolickiego.

(Do portretu).

W piśmie naszem, zamieszczamy po raz pierwszy wizerunek i życiorys dostojnika kościoła gr. kat. obrządku. W czasach, kiedy zawistna i gwałcąca sumienia ludzkie ręka, usiłuje pomiędzy nami, wśród dwóch bratnich narodów, siać ziarna niezgody i rozterek, z których nieprzyjaciel pragnie zbierać owoce — szczęśliwi jesteśmy, że właśnie ks. biskup Sylwester Sembratowicz pierwszy zaszczyca kolumny „Dziennika dla Wszystkich“. — W dziejach polskiego narodu, systematyczna przemoc nigdy nie mogła znaleść odpowiedniego gruntu — a jeśli była assymilacja innych żywiołów, to takie przeobrażenia zaszczyt przynoszą polskiemu narodowi, bo assymilacja dokonywała się na drodze moralnego wpływu, bez udziału brutalnej siły. Ks. biskup Sembratowicz od samego początku swojego zawodu duchownego, należy właśnie do tych zacnych kapłanów gr. kat. obrządku, którzy na miłości budują szczęśliwą przyszłość, a do ran zakażonych ludzką nienawiścią i fałszem, przykładają miękką i ciepłą rękę miłosierdzia, mając na ustach pokój i modlitwę... Ks. biskup Sembratowicz jest w swoim rodzaju najdodatniejszym typem prawdziwego rusina — natura otwarta, serce prawe, do pomocy skory, a nawet nie oglądający się na swój osobisty spokój; do języka swego i obrządku przywiązany całą duszą, i całą też duszą wierny katolicyzmowi, w polakach widzący braci i uważający rozterki domowe za nasze, do których nikt się nie ma prawa wtrącać — jednem słowem, ks. biskup Sembratowicz, jako kapłan i obywatel należy do tych dostojników kościoła katolickiego, o którym obie narodowości bratnie: polska i ruska, ze czcią wspominają.

Ks. biskup Sylwester Sembratowicz urodził się w Desznicy 3. Września 1836 r., początkowe nauki pobierał w Jaśle, Gorlicach i Tarnowie, był w gimnazjum w Przemyślu, we Lwowie i w Wiedniu. Studja filozoficzne i teologiczne odbywał w Colegium Urbani de propaganda fide w Rzymie — w 1860 r. został tam doktorem ś. teologji, gdzie także otrzymał święcenia kapłańskie. W Tyliczu był kooperatorem, w Słowicie kapelanem i katechetą w konwikcie panien Bazylianek; później ks. Sembratowicz był prefektem seminarjum i uczył w szkole Dominikańskiej, jako katecheta dla uczni obrządku grecko-katol. W 1865 r. był profesorem dogmatyki na uniwersytecie lwowskim. Dwa razy ks. Sembratowicz był dziekanem fakultetu teologiczeego we Lwowie. Obecnie jest proboszczem kapituły tutejszej, biskupem zaś mianowany został w 1879 r.— Ten krótki przebieg życia ks. biskupa nie jest wyczerpujący, bo trudno nam w zwykłym dziennikarskim artykule to uczynić; trzebaby dłuższego czasu, aby systematycznie zestawić wszystkie piękne czyny kapłana i obywatela, czyny, których ślady skromna ręka zacnego rusina przed reklamą zasłania — ci jednak, którzy z obowiązku baczni muszą śledzić objawy życia publicznego, wiedzą o tem dobrze, że ks. biskup Sembratowicz należy do najzacniejszych synów tej ziemi, na której wspólnie żyjemy i, że będąc w najpiękniejszych męzkich latach, ma szeroko otwartą księgę czynów, na której, bodaj cały ciąg życia jego, zapisał się złotemi literami prawdy i miłości.

Kronika krajowa.

† Paulina Kraków zmarła nagle w Warszawie. W szeregu autorek, piszących dla młodocianego wieku, Krakowowa zajmuje wybitne miejsca przez swe dziełka, które z zajęciem i pożytkiem są czytywane przez naszą młodzież. Krakowowa nie ustawała w pracy piśmienniczej do ostatniej chwili, z powodzeniem przerabiając powieści historyczne J. I. Kraszewskiego w zastosowaniu do pojęcia dzieci. Kraj swój kochała Krakowowa gorąco i zajmowała się też pilnie wszelkiemi jego sprawami.

---

† Szczęsny Maciejowski, dr. medycyny, b. lekarz sztabowy w r. 1831, b. prezes Towarzystwa lekarskiego, obywatel i b. radny m. Lwowa, zmarł we Lwowie d. 25. b. m. w 83 roku życia, uległszy uszkodzeniu z powodu przejechania przez dorożkę. Był to jeden z najstarszych lekarzy lwowskich, pełnił, bowiem, obowiązki swego zawodu we Lwowie nieprzerwanie przez lat 50, a w długim tym okresie szlachetnemi zaletami charakteru i cnotą obywatelską, zjednał sobie cześć i prawdziwą sympatję w bardzo szerokich kołach.

---

† Dr. Juljan Grabowski, profesor technologji chemicznej w uniwersytecie techniczno-przemysłowym, członek korespondent Akademji Umiejętności, umarł nagle w Krakowie. Urodzony r. 1848, po ukończeniu szkoły głównej warszawskiej, udał się na uniwersytet do Berlina, gdzie zwrócił na siebie uwagę słynnego chemika prof. Bayera i został jego asystentem. Wraz z nim przeniósł się do Strasburga, wykładał na tamtejszym uniwersytecie chemję, jako docent, a jakkolwiek w Niemczech otwierały mu się świetne widoki w karjerze naukowej, opuścił Strasburg i udał się jako docent na uniwersytet lwowski. W r. 1877, po utworzeniu instytutu techniczno-przemysłowego w Krakowie objął w nim kierownictwo oddziału chemicznego i wzorowo urządził laboratorjum. Niedługo przedtem wysłał go był Wydział krajowy do Ameryki dla zbadania tamtejszego przemysłu naftowego. Odtąd też pracował ś. p. Grabowski przeważnie nad technologją wyrobów naftowych; zmierzał do tego, żeby uratować drogę umiejętnemu zużytkowaniu odpadków pozostających przy eksploatacji nafty, w celach przemysłowych, w czem niezawodnie tkwi nowe, a obfite źródło dla bogactwa kraju. Wielkie też położył zasługi w urządzeniu nafty i wosku ziemnego na wystawie krajowej lwowskiej z r. 1877. Prace jego pisane po niemiecku i po polsku, zjednały mu w świecie naukowym zasłużone uznanie. Niepospolitą, acz brzemieniem ciężkiej choroby zmarnowaną w ostatnich latach młodą siłę, przyszło nam złożyć do grobu. Rozpoczęła się ta choroba jeszcze w Strasburgu, gdy narażając życie przy pożarze, ugodzony został palącą się belką, która strzaskała mu szczęki jednego policzka. W następstwie tego wypadku, malującego dostatecznie szlachetny, pełen poświęcenia charakter, uśmierzano bóle nerwowe twarzy, które się powtarzały, po wyleczeniu z ran, morfiną. Nawykły do wstrzykiwania morfiny nie mógł się Grabowski bez niej obywać i to stało się przyczyną stopniową jego śmierci, która go do grobu dognała. („Czas.“)

---

† Młody i utalentowany literat dr. St. Warnka umarł na suchoty, w Poznaniu. Pewna fatalna przedwczesność uderza, jak słusznie ktoś zauważył, w stratach, jakie ponosimy. Z prac zmarłego wymieniamy: „O buncie Michała Glińskiego“, „Wyprawa angielska do bieguna północnego“, „Morze w Saharze“, „Koleje azjatyckie i afrykańskie“, „Kanał pomiędzy oceanem Atlantyckim, a Spokojnym“, i „Przewalskiego podróż po Mongolji“. Przed dwoma laty wydał nakładem J. K. Żupańskiego „Joachima Lelewela zasługi na polu geografji“.

Plotki i nieplotki.

* Nieoceniony kamień. W Milhuzie w Alzacji panował aż do czasów rewolucji taki zwyczaj. Jeżeli ktoś narobił plotek, szkodzących drugiemu na sławie, natenczas zawieszono mu na szyi płytę kamienną z następującym napisem:

Kamieniem plotek jest zwan,
Wszystkim plotkarzom dobrze znan:
Kto sławie drugich stoi na zdradzie,
Ten mię przez miasto poniesie w paradzie.

Przestępca oprowadzany był z tym kamieniem po wszystkich ulicach miasta, wśród największego zbiegowiska ludzi. Podobno najczęściej zdobił on szyję płci pięknej. U nas we Lwowie, gdyby podobny zwyczaj zaprowadzono, mielibyśmy chyba codzień kilka takich „oprowadzań“ po ulicach z płytą kamienną u szyi, wiszącej podobno najczęściej... u płci brzydkiej...

* Bal polski w Wiedniu był świetny. Oto, co pisze o nim sprawozdawca dziennika „Presse“:

Najbardziej udręczony i znużony reporter balowy musiałby się wczoraj pogodzić z losem. Karnawał rozstał się z nami w najprzyjemniejszy sposób. Bal polski był w istocie „pańskim“ balem, w obec niezliczonego szeregu mieszczańskich i półpańskich balów, jakie tej zimy przesunęły się przed oczyma naszemi. Ale nietylko wyborowe towarzystwo, nietylko dotykalnie wytworny i dystyngowany ton balu nada-

wały mu tak zajmującą cechę. Najpiękniejszą zaletą jego były damy, i pod tym względem każdy przyznać musi, że na żadnym balu, Wiedeń tak świetnego zbioru piękności nie widział, jak na balu polskim. Tu znana piękność, tam nowo wprowadzony podlotek, tam gwiazda teatralna, tu znowu arystokratka z ognistem wejrzeniem polskiego szczepu — wszędzie, a wszędzie uroczystość dla oczu. Zwykła kronikarska terminologja balowa nie wystarcza do opisania prawdziwie pięknego widoku tego towarzystwa; niechaj każdy żałuje, co nie był na balu i postanowi sobie nie ominąć następnego.

Toaleta każdej z tych wysoko położonych dam, których nazwiska zdobią długą listę gospodyń, stanowiłaby przedmiot oddzielnego rozdziału, a wielki mazur, z sumiennością wykonany, zasługuje na osobne studjum; ale taka dola sprawozdań balowych, że muszą być pobieżne. Więc wspomnimy tylko, że arcyksiąże Karol Ludwik opuścił bal u markiza Pallavicini dla balu polskiego, na którym przeszło godzinę zabawił.

Gospodyniami były: hr. Baworowska, hr. Wanda Księżna Czartoryska, pani Jaxa-Chamiec, hr. Drohojewska, hr. Seweryna Dzieduszycka, hr. Anna Dzieduszycka, hr. Marja Dunajewska, hr. Mier, hr. Orsini-Rosenberg, hr. Potocka, hr. Siemieńska, hr. Taaffe, hr. Vetter von der Lilie, hr. Wodzicka, hr. Zamoyska, boronowa Ziemiałkowska.

Obecnymi byli na balu: książe Sasko-Wejmarski, hr. Taaffe, minister Dunajewski, minister Ziemiałkowski, honorowy prezes gabinetu; książe Jerzy Czartoryski, w narodowym stroju; członkowie izby panów: ks. Czartoryski, gubernatór banku krajów hr. Wodzicki, hr. Dzieduszycki Wojciech, ks. Sanguszko, hr. Clary, hr. Batthyanyi, hr. Teleki, hr. Festetis z żoną, hr. Nemes, hr. Kolowart, poseł rosyjski Oubril, posłowie: saski i bawarski, posłowie z rady państwa: hr. Vetter, hr. Zamoyski, Wolański, Sochor, Chamiec i inni.

Wspomnijmy także o podarunku dla dam. Miniaturowe kolczugi usarzy polskich podług rysunku Rybkowskiego, wykonane ze znaną wytwornością w pracowni Kleina. Bal się skończył o 6-tej rano.

* „Marie von Bismarck.“ Pod tą nazwą ukazała się przed stu laty w Berlinie powieść, napisana, jak mówią dzienniki niemieckie, w stylu zbyt naturalistycznym. Rodzina Bismarcków, natenczas jeszcze bez znaczenia, zapozwała autora, żądając zmiany tytułu, ale sąd rozstrzygnął sprawę na niekorzyść strony skarżącej. Książka ta wyszła z druku w r. 1780.

* Ze sposobności trzeba korzystać. Arcybiskupowi kolońskiemu, ks. Melchersowi, zdarzył się razu pewnego następujący arcyzabawny przypadek. Przy zwiedzaniu szkoły wiejskiej, egzaminował dzieci z katechizmu. „Co to jest sakrament bierzmowania?“ — zapytał małą dzieweczkę, a ta odpowiedziała dobrze według katechizmu. „Czy sakrament ten do zbawienia koniecznie jest potrzebny?“ — pytał dalej. „Nie,“ — odpowiedziało dziewczę podług katechizmu, „ale gdy się sposobność nadarzy do przyjęcia tego sakramentu, trzeba z niej korzystać.“ Arcybiskup pochwalił dzieweczkę i przeszedł do innych sakramentów. Przy sakramencie małżeństwa, zapytał przypadkowo to samo dziewczę, dumne za odebraną pochwałę: „Powiedz mi, czy sakrament małżeństwa do zbawienia jest koniecznie potrzebny?“ „Nie,“ była pospieszna odpowiedź dziewczynki, „ale gdy się sposobność do tego sakramentu nadarzy, trzeba z niej korzystać.“

* Pani Edmond-Adam. Korespondent petersburgski „Koln. Ztng.“ pisze, że nad Newą bardzo podziwiano piękny biust wydawczyni „Nouvelle revue,“ ale jej polityczna misja w Petersburgu, napotykała wszędzie zupełną obojętność. „Że się znajdują rosjanie, powiada korespondent, skłonni marzyć o związku francusko-słowiańskim, rzecz to nie nowa, ale rosyjscy mężowie stanu, pomimo wszelkich czarów inteligentnej i dowcipnej damy, mieli dość rozumu, żeby nie zaplątać się w sidła przyjaciółki francuskiego męża stanu, którego dni, według wszelkiego prawdopodobieństwa, są już policzone. Niejedno arystokratyczne ucho w Rosji mile głaszczą gwałtowne tyrady przeciw Prusom, płynące wartkim potokiem z niezmordowanych ust mściwej francuzki i, gdy pani Edmond-Adam księcia Bismarcka nazywa „barbarzyńcą“, lub „katem“, gorąco jej przyklaskuje wtedy może jaka para osób, ale skoro idzie o projekt aliansu z republikańską Francją cofają się przed nim autokratyczne umysły. Pewien jegomość wyraził się w mojej obecności nader zwięźle o „kwestji pani Edmond-Adam:“ Que veut-elle, cette drôle, elle a des belles épaules et voilà tout“...

* Król Mtesa i lekarz. Rob. Falkiens tak opowiada w jednym z dzienników swoje przygody w Ugandzie i stosunek swój z królem Mtesa. Na audjencji zastał on króla chorym. „Wkrótce po naszem powrocie do mieszkania— mówi p. Falkiens — ukazał się paź z oznajmieniem, że król życzy sobie, abym przybył do niego po południu w charakterze lekarza. Naturalnie, oświadczyłem wszelką gotowość uczynienia zadość rozkazowi. P. Mackay towarzyszył mi jako tłumacz. Mtesa siedział w otoczeniu swoich dygnitarzy. Służbę pełnili paziowie. Na lewo przed namiotem umieściło się kilkadziesiąt żon jego, na prawo kat. Król owinięty był w długą białą chustkę spiętą na lewem ramieniu, jak i wszystkie ubiory krajowe. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i na wszystkie moje pytania dawał szczere odpowiedzi. Ze swej strony sam zadawał mi pytania świadczące dobrze o jego zdolnościach umysłowych. Dał mi do zrozumienia, że bardzo by pragnął zostać wyleczonym i dla tego poddał się badaniu swego ciała, czegoby dawniej nie był ścierpiał. Podczas, gdym go egzaminował, wszyscy dygnitarze i cały dwór musieli się odwrócić. Oświadczyłem mu, że jeżeli mam być użytecznym, to powinien słuchać wszystkich poleceń moich, bez czego nie byłoby nadziei wyzdrowienia. Obiecał, że do przepisu mego się zastosuje, żądał wszakże, ażebym mu sam lekarstwo przyniósł. Za drugim razem, będąc źle usposobionym względem białych zapytał mnie: „Doktorze, jak sądzisz, przez wiele tygodni wypadnie mi jeszcze brać lekarstwa?“ Objaśniłem go. Po krótkiem milczeniu rzekł:— „doktorze, przynieś mi tyle flaszek lekarstwa, ile jeszcze będę potrzebował.“ — „Dlaczegoż?“ — zapytałem. — „O!“ — odpowiedział z największą flegmą „dowódcy moi domagają się zabicia ciebie a któżby mi wtedy lekarstwa przyrządzał?“ Naturalnie, że odmówiłem i wytłumaczyłem mu, że zabijając mnie, pozbawiłby się moich cennych usług i nauki mojej. Z początku nie zrozumiał dokładnie, potem wszakże, gdy już pojął, o co idzie, zwrócił się do swych dowódców i powiedział: „doktor nie chce mi dać lekarstwa, jeżeli umrze. Co mam zrobić?“

PRZEKLĘTY DWOREK

NOWELLA

NAPISAŁ

BOLESŁAWICZ.

(Ciąg dalszy).

Zdawało się w tej chwili Kazimierzowi, że poraz pierwszy w życiu słyszy śpiew tak piękny, chciał się rzucić do nóg Walentyny i Bóg wie, czyby nie był zrobił tego, lub innego szaleństwa, gdyby na szczęście nie wszedł hr. Leon.

Kazimierzowi, gdy wracał do miasta, zdawało się, że leci powietrzem; nie było w nim żalu, że odchodzi; unosił ze sobą taki zapas szczęścia, że na tęsknotę nie było miejsca w jego sercu.

Pewnego razu, gdy z Walentyną i hrabią siedzieli w altanie, wszedł jakiś nieznajomy mężczyzna do ogródka.

Wzrostu był słusznego, trzymał się nieco pochyło; włosy już szpakowate okrywały mu głowę, na którą natknął był niedbale duży słomianny kapelusz.

W twarzy jego malowało się głębokie rozrzewienie; rozglądał się do koła, a zdawało się, że wszystko tu jest mu dobrze znanem.

Zbliżywszy się do altanki, złożył ukłon, i rzekł wzruszonym głosem:

— Darujcie mi państwo, że śmiem tu wchodzić bez pozwolenia, ale trudno mi się powstrzymać od chęci zobaczenia z blizka tego dworku, w którym dłuższy czas przebywałem. Nie pozbawiajcie mnie państwo tej przyjemności — pozwólcie tu przebyć chwilę jedną, pozwólcie tem powietrzem nakarmić pierś znękaną, a będę wam wdzięczny całem sercem.

Mówił z taką prostotą i rzewnością, że, ani hrabia, ani Walentyna, nie pomyśleli o odmowie. Podano mu krzesło i upewniono go, że obecnością swą nie sprawi najmniejszej przykrości.

Nieznajomy usiadł.

— Nic się tu nie zmieniło — rzekł patrząc po ogrodzie—wszystko w tem samem miejscu, jak dawniej. Tamte róże zaczynają się rozwijać tak, jak niegdyś, ta sama cisza i ten sam widok w około. Urocze to zacisze, dla obcego człowieka — dodał zwracając się do Walentyny, ale straszne dla tych jego mieszkańców dawnych, dla których kryje w sobie wspomnienia okrutne...

Uniósł się pod siłą owych wspomnień, rozgorzał ogniem rozniecónym nagle w piersi i stanąwszy przed Walentyną — zawołał namiętnie:

— Nad tym domkiem, wdzięcznym jak raj, cięży przekleństwo!... Wszyscy, którzy mieszkali w nim, wszyscy zostali dotknięci okrutną jego siłą i nikt nie wyszedł ztąd bez gorzkich łez, mających płynąć przez całe jego życie. To miejsce jest przeklęte. Ja sam przekląłem tu każde ziarnko piasku, każdy listek na drzewie, każdy kwiatek najmniejszy, bo tutaj straciłem szczęście, straciłem ukochanie moje i wiarę w ludzi. Tak, tu ją straciłem, bo, czy może wierzyć już komu człowiek, który w ubóstwianej żonie ujrzał zwyczajną zalotnicę, w przyjacielu... nędznego uwodziciela. Ach! tu zobaczyłem się w roli biednego ciemięgi, z którego się śmieją ludzie, z którego żartują głupcy... To więcej, niż całe piekło boleści. Tam, za tym wspaniałym klombem, odegrał się krwawy dramat. Jasny księżyc świecił na pogodnem niebie, łuna srebrna oblewała cały ogródek, było tak pięknie i cicho na świecie — gdym ujrzał naraz, poza klombem, dwoje ludzi w miłośnym uścisku. Widok to był poetyczny... nieprawdaż? Ale nie dla mie! W jednej chwili uczułem w sobie wściekłość dzikiego zwierza, i rozum mi się pomieszał, w sercu zapałała żądza zemsty. Co, i jak się działo? nie wiem... wiem tylko to, że wyszedłem ztąd zbrodniarzem, i wkrótce potem siedziałem na ławie oskarżonych o mord.

Słuchający ciekawie się wpatrywali w nieznajomego człowieka. Straszna to była historja, którą opowiedział.

On zapewne nie widział patrzących na niego oczów; on, znalazłszy się w tych miejscach, spotkawszy się z widmem gryzących wspomnień, potrzebował mówić i może byłby mówił do drzew, do krzaków, do samego siebie, byłby opowiadał, jak o to teraz, gdy po długich latach więzienia otrzymał wolność, wraca tu od czasu do czasu i zamiast szukać miejsc nieszczęsnych potrzebuje się tu znaleść niekiedy i poić się trucizną przypomnienia. Budzący w ludziach zgrozę, nie ma też na świecie innego już życia, nie ma w sobie spokoju, aby wytrzymać na jednem miejscu — więc tuła się, błąka po świecie, aby tu wracać zawsze i pocieszać się myślą, że miejsce to jest przeklęte, że muszą tu zawsze rozgrywać się dramata okrutne. Tak tu było od lat dawnych i tak tu być musi zawsze: los strasznego przeznaczenia spuszcza tu zawsze na ludzi — miłość okrutną...

Mimowoli oczy Walentyny spotkały się z tym wzrokiem Kazimierza. Nie było w tych oczach trwogi, przestrachu, ale jakiś ogień namiętny. Spotykały się jego dwa promienie i od tej chwili zdawało się, że jakaś moc niezwyciężona zbliżyła ich serca do siebie.

Za to hrabia zmarszczył się surowo na biednego opowiadacza strasznej historji. Chciał potem zaśmiać się szyderczo z wiary w baśnie; mimowoli zwrócił wzrok na Walentynę i zdawało się badać ją nim, a ona zmieszana pochyliła głowę, aby ukryć to wzruszenie swoje. Trwało to sekundę jedną; ale było dość tej sekundy, aby niepokój zakradł się do serca, aby podejrzenie wcisnęło się w umysł.

A panowało przytem milczenie, wytwarzając położenie dziwnie przykre; lecz Walentyna już ochłodła z pierwszego wrażenia i odzyskała zwykły takt spokojny:

— Wdzięczni panu jesteśmy za opowiedzianą historją — rzekła do nieznajomego.— Mnie ten dom nie był nigdy szczególnie miłym i teraz, gdy wiem, że był świadkiem rzeczy tak smutnych, że cięży na nim wspomnienie tak bolesne, będę chciała, abyśmy opuścili jak najprędzej.

— Dobrze państwo uczynicie — rzekł nieznajomy — uciekając z miejsca przeklętych, jak najdalej.

Hrabia, choć sam możeby pragnął był opuścić w tej chwili dom przeklęty, jednak uznał za rzecz stosowną sprzeciwiać się Walentynie. Duma mężczyzny, duma męża, wymagała tego po nim.

— Chyba żartujesz! — rzekł do żony — rzucać mieszkanie wygodne dla przypowiastki, byłoby śmiesznością; co zaś do wspomnień, smutnych, to gdzież na ziemi ich nie ma? Każdy dom ma je w dziejach swoich i uniknąć ich niepodobna.

— Nie sądzę też, abyś była zbyt nerwową i zostawała długo pod panowaniem wrażenia, które cię rozstroiło chwilowo. Prawda?

Pytał się, patrząc na żonę z uprzejmym uśmiechem, lecz zaraz potem dodał z powagą: przytem my możemy mieszkać spokojnie w miejscach choćby rzeczywiście przeklętych, bo żadne z nas, ani ja, ani ty, nie zeszłoby nigdy na dramat taki...

Walentynę oblały rumieńce.

Och! — rzekła żywo — nie o tem myślałam, ale już trudnoby mi było czuć się tu wesołą i swobodną. Każde spojrzenie na ten klomb stawiałoby mi przed oczy krwawy obraz i wkrótce znienawidziłabym to miejsce.

— Jeżeli tak to wyjeżdżajmy — rzekł hrabia. — Wszak wiesz, że mnie tam tylko dobrze, gdzie tobie dobrze być może.

Mówił to na pozór spokojnie i ze zwykłą, zawsze okazywaną żonie, czułością, ale znać było po pewnym błysku oczów, że i on pragnąłby wyjazdu, że był rad z nalegania żony.

Kazimierz doznawał przez ten czas uczuć trudnych do opisania. Najpierw ogarnęło i jego uczucie trwogi, lecz teraz, gdy spostrzegł, że może nagle utracić Walentynę, żałośny niepokój zapanował nad wszystkim i gotów był kląć człowieka, którego zjawienie się rozburzało mu tak niespodziewanie raj jego marzeń.

A tymczasem Walentyna się podniosła.

— Robi się chłodno — rzekła. — Był to, jakby znak, że goście powinni ją pożegnać, bo okazała chęć powrotu do domu, nie prosząc ich tam jednak ze sobą.

Kazimierz czuł się jak gdyby pijanym. Czyżby to miało być pożegnanie ostatnie, pożegnanie bez żadnego innego słowa? A cóż było, to, co przed chwilą zapałało w jej oku? Cóż było to co usłyszał w pieśni, którą dla niego zaśpiewała?

Hrabia, przy pożegnaniu, nie zapraszał go, jak zwykle — odszedł więc bez nadziei powrotu.

Za nim postępował nieznany człowiek, który to wszystko sprawił. Gdy uszli w milczeniu kroków kilka, przysunął się bliżej do Kazimierza i rzekł:

— Może towarzystwo tej pięknej pani jest panu bardzo miłe i złorzeczysz mi w duszy za to, żem wpadł między was z niewczesną opowieścią, ale przyjdzie czas, w którym będziesz mię błogosławił. Jeżeli nie chcesz pan wierzyć w przekleństwo, to wierz w zdradliwe sidła takich cichych ustroni. Życie powinno być życiem, a nie marzeniem. Pan tego jeszcze nie wiesz, ale ja wiem. Miejsca takie są przeklęte, powtarzam i dobrze jest że uciekniesz ztąd.

Mówił to głosem łagodnym i życzliwym, a oddalił się natychmiast.

Dzień ten był dla Kazimierza dniem przywracającym mu równowagę. Zrozumiał stan swego serca, położenie swoje i ujrzał się nad przepaścią...

Czegoż mógł się spodziewać? za czem gonił? Czyliż mógł naprawdę przypuścić, że uzyska miłość Walentyny? a uzyskawszy ją, cóżby począł? Coby mu to przyniosło?

Czy szczęście?

Nie...

Lepiej więc cofnąć się i wyjść z czarodziejskiej matni z sercem czystem, lepiej przeboleć utratę pięknego snu, niż utracić na zawsze spokojność, niż wydrzeć ją drugiemu sercu — kobiecie!

Do tego dnia Kazimierz nie zdawał sobie sprawy z codziennych uczuć, lecz teraz, gdy słowa chłodnej rozwagi przemówiły do niego, gdy boleść doznana na myśl oddalenia się Walentyny dała mu poznać niebezpieczeństwo, postanowił, jak człowiek honoru ocalić od niego siebie i ją.

Miał przed sobą dwie drogi: jedna prowadziła do ciszy i spokoju, druga do wzruszeń i cierpienia.

Wybrał pierwszą z nich i z tem silnem postanowieniem wszedł do domu p. Fortunata. (C. d. n.

TEATR.

O świeżo wystawionej z niemieckiego przetłomaczonej 4 aktowej komedji Rosena p. t. *Maszyny*, da się z pewnością to powiedzieć, że autor sam robi wrażenie *maszyny* do fabrykowania sztuk na scenę. *Maszyny*, rzecz to tak mizerna pod względem pomysłu, bezkrwista pod względem charakterów, o sytuacjach nie już naiwnych, a idjotycznych — że najlepiej byłoby nic nie wspominać o tym poronionym płodzie niemieckiej komedjopisarskiej muzy, gdyby obowiązek kronikarski nie nakazywał przynajmniej zanotować po raz pierwszy przedstawionej „komedji“... Szkoda było dobrej gry artystów,

---

Opera. Pani Juniewicz, o gościnnych występach której, wspominaliśmy w poprzednim numerze, wystąpieniem w *Halce* w partji tytułowej, stwierdziła poprzednio wypowiedziane nasze zdanie, iż jest śpiewaczką dramatyczną— w *Halce* jednak w scenach lirycznych, brak jej było tej poetycznej miękkości, słodyczy, rzewności zdobiącej temperament rozkochanego wiejskiego dziewczęcia... Dykcja polska u pan

Juniewicz, okazała się w *Halce* tak skażoną rosyjskim językiem, że aż przykro było słuchać. Trudno, doprawdy, zrozumieć, jak kobieta wykształcona, może pozwolić na takie poturbowanie swojego rodzinnego języka przez obcy... Wszak pani Modrzejewska, pomimo, że grywa na scenie po angielsku, jednak nie psuje sobie języka polskiego. Jest wielu przecież polaków, którzy dobrze mówią po rosyjsku i dłuższy czas przebywali w Petersburgu, a nawet odbywali studja w języku rosyjskim, a przecież mowy polskiej nie skazali tak szkaradnie, jak pani Juniewicz, co tembardziej jest dziwne, że p. J po większej części śpiewa w Rosji po włosku."

O benefisie panny Bocskay, która sobie wybrała operetkę *Niewiniątko z Belleville*, chyba to tylko powiedzieć możemy, że panna B. coraz żywszą wzbudza sympatję i staje się ulubienicą publiczności. Na kwiatach też, które otrzymała na przedstawieniu benefisowem, mogłaby wygodnie pomarzyć i pomyśleć sobie o... przeszłości...

Benefis pana Borkowskiego, który śpiewał operę Moniuszki: *„Straszny Dwór“* dowiódł, że śpiewak ten posiada istotne uznanie dla swego talentu. Bas pana Borkowskiego, jest zawsze silny i dobrze się konserwuje, choć nie raz brak mu jest świeżości i wyrazistości.

Przedstawienie w teatrze na dochód rodziny po ś. p. jenerale Jezierańskim, przyniosło czystego zysku około 700 reńskich. Teatr był cały zapełniony.

Po burzy jednoaktowy obrazek p. A. Abrahamowicza, przedstawiony po raz pierwszy w tych dniach na naszej scenie, odznacza się pewnym właściwym humorem temu autorowi — innych jednak zalet nie posiada. Role znajdujące się w rękach panów: Fiszera, Zboińskiego, Bystrzyńskiego, oraz pań: German, Kwiecińskiej, Cichockiej i Gostyńskiej, oddane z ekspresją, przyczyniły się do ożywienia tej bluetki, — posiadającej, zresztą, kilka scen zgrabnie i żywo nakreślonych.

Potoczne wiadomosci teatralne. —

— Słynny tragik Salvini wraz ze swą trupą w niedługim czasie przyjedzie do Warszawy.

— Teatrzyków ogrodowych podobno mieć będzie Warszawa w roku bieżącym więcej, aniżeli w ubiegłym.

W Eldorado osiądzie p. J. Grabiński, w Alhambrze p. Łucjan Kościelecki z trupą poznańską, w Bellevue p. Puchniewski. Na Nowym-Świecie w budowanym tam teatrzyku, niedaleko od ulicy Chmielnej, dawać będzie przedstawienia p. Doroszyński, mający zaangażować w tym celu podobno część towarzystwa dramatycznego ze Lwowa.

Prócz tego o urządzenie teatrzyku letniego w Dolinie Szwajcarskiej, stara się dyrektor sceny krakowskiej: pan Koźmian. Układy pomiędzy właścicielem Doliny, a Bilsem jeszcze nie doszły do skutku.

KSIĘŻNICZKA BAGDADU.

Komedja w trzech aktach

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMAS'A (SYNA).

Przełożył z francuskiego

Stanisław Wegner.

(Ciąg dalszy.)

TREVELE. Ponieważ.

GODLER. Ponieważ na 50 strzałów zabija 50 gołębi.

TREVELE. Ależ ja przecież nie jestem gołębiem.

GODLER. Dwunastu kulami trafia 11 razy w sam środek tarczy, a za dwunastym razem, rozbija tarcz.ę

NOURVADY. Na szczęście, że zapomocą silnej woli, wyrobiłem w sobie łagodne usposobienie, bo z natury byłem predki i gwałtowny.

GODLER. Biedny Marnepont umiałby coś o ten powiedzieć.

NOURVADY. Nie mówmy o tem.

LIONNETTA. Ale owszem, mówmy. Znałam dobrze pana de Marnepont, i opowiedziano mi, że został zabity. Więc to pan go zabiłeś?

NOURVADY. Niestety, tak jest pani.

LIONETTA. W pojedynku.

NOURVADY. Naturalnie, przecież go nie zamordowałem.

LIONNETTA *(śmiejąc się)*. Jakiż on był nudny!..

NOURVADY Nie był to jedyny powód jego śmierci. Miał on inne wady. Był zuchwały i kłamca.

LIONNETTA. Cóż on takiego zrobił? Jakież kłamstwo powiedział? Założyłabym się, że chodziło tu o kobietę.

(Ryszard odszedł. Jan przysłuchuje się rozmowie, oparty o poręcz kanapy, na której siedzi żona.)

NOURVADY. Nie, pani tym razem chodziło tylko o moją lichą osobę. Pan de Marnepont obgadał mnie, powiedział, że jestem garbaty, co nie było prawdą. Mam tylko lewe ramię wyższe od prawego.

LIONNETTA. Tego nie widać.

NOURVADY. Tak, a mianowicie od czasu owego pojedynku. W każdym razie, nikt już o tem nie wspomina. Mój ojciec przy schyłku życia, miał istotnie okrągłe plecy; pracował wiele pochylony nad biurkiem. To robi człowieka pochyłym w końcu. Biedny ojciec! Pewnego razu rzekł do mnie: „Mam jedno ramię wyższe, jak drugie, to jest lewe; odziedziczyłeś to po mnie, za co tymczasem serdecznie cię przepraszam, a po mojej śmierci będę się starał zostawić ci tyle majątku, abyś mógł o tem zapomnieć. Ale znajdą się tacy, którzy im majętniejszym będziesz, tem więcej będą z ciebie szydzili. To też radzę ci wpraw się dobrze w robienie każdego rodzaju bronią—to ci się przyda na później i zmaże każdą obrazę.“ Usłuchałem rady ojca i wyszło mi to na dobre. Zresztą, pan de Marnepont strzelał znakomicie z pistoletu i dla tego wybrałem tę broń. Byłem obrażony, nie chciałem, aby miał powód uskarżania się na mnie. Można było strzelać bez komendy, on wystrzelił pierwszy i wpakował mi kulę w prawe ramię, co naturalnie spowodowało mnie do zrobienia ot tego ruchu *(podnosi cokolwiek prawe ramię)* było to bowiem bardzo bolesne, i dotychczas czuć mi się daje. Czasami prawą rękę mam, jakby sparaliżowaną. Ktoby mnie obraził i chciał pokonać, niechajby wybrał szpadę, a za drugiem pchnięciem niechybnie by mnie zabił

TREVELE. A Marnepont?

NOURVADY. A zatem robiąc ów ruch spowodowany bólem, na chwile prawe ramię wydawało się wyższe od lewego *(podnosi prawe ramię)*. „Omyliłem się“, — zawołał mój przeciwnik ze śmiechem, to prawe ramie jest wyższe.“ Nie było to powiedziane głupio, jak na niego, udało się biednemu chłopcu coś powiedzieć mądrego, a że to było przeciw jego naturze, dla tego umarł.

GODLER *(po cichu do Trevelego)*. Niegodziwy! Chce zawrócić głowę obywatelce.

LIONNETTA *(patrząc za Nourvadym, który zbliża się do Godlera i Trevelego, z których jeden siedzi, drugi stoi na przeciwnej stronie sceny)*. Co to za oryginalny człowiek.

JAN. Znajdujesz go oryginalnym?

LIONNETTA. Tak wcale niepodobny do innych ludzi.

JAN. W istocie?

LIONNETTA. Co ci jest? O czem myślisz?

JAN. Myślę, że ten oryginalny człowiek bardzo jest szczęśliwy.

LIONNETTA. Bo ma lewe ramie wyższe od prawego i w nim kulę?

JAN. Bo ma 40 milionów, których ja nie mam.

LIONNETTA. A tak, toby nas wybawiło z kłopotu.

JAN. Bardzo jestem nieszczęśliwy, droga moja Lionnetto.

LIONNETTA. Dla czego?

JAN. Bo nie mogę dać ci już tego wszystkiego, co poprzednio ci dawałem.

LIONNETTA. Obejdę się bez tego.

JAN. Nie, nie jesteś w stanie się obejść; przed chwilą sama to powiedziałaś.

LIONNETTA. Czasami sama nie wiem, co mówię; nie trzeba na to zwracać uwagi. Przypadek zrobił tyle dla mnie w życiu, że i tym razem przyjdzie mi w pomoc.

JAN. A jeśli mu się już naprzykrzyło? I tobie również? Nie powiem, jeżeli mnie już nie kochasz, bo w gruncie nigdy mnie nie kochałaś.

LIONNETTA. Pocóż więc poszłam za ciebie?

JAN. Bo matka twoja tak ci radziła.

LIONNETTA. Prawdopodobnie jest to jedyna dobra rada, którą mi dała w życiu,

a zareczam ci, że o mojej wdzięczności dla siebie nigdy wątpić nie potrzebujesz.

JAN. Wdzięczność nie jest miłością.

LIONNETTA. Miłość przychodzi potem i...

JAN. Długo potem? bo dotąd nie przyszła jeszcze.

LIONNETTA. Każdy daje tyle, ile może. Tak też i ze mną. Dałam ci wszystko. Czy to jest miłość, lub nie? Nie wiem, nie mogę robić porównania, bo nie mam pod tym względem żadnego doświadczenia (*wacha się, czy mówić dalej.*)

JAN. Czy chciałaś jeszcze co powiedzieć?

LIONNETTA. Nie.

JAN. Proszę, powiedz mi wszystko, co myślisz.

(*Przyciąga za rękę Lionnettę ku sob e).*

GODLER. Otóż znowu zaczynają się tajemnicze szepty. Zabawny dom.

(*Trzej panowie odchodzą do ogrodu, zkąd ich już nie widać*).

LIONNETTA. Chciałam powiedzieć, że może zanadto mię kochasz i dla tego zdaje ci się, że za mało cie kocham. Byłeś zanadto dobrym dla mnie; robiłeś wscystko, co chciałam i w tem postepowałeś nierozsądnie. Trzeba było surowiej obchodzić się ze mną; zrównoważyć zły wpływ mojej matki, zmienić moje wady, opierać mi się więcej, obronić mnie przed sobą samą.

JAN. Obronić cię? cóżeś więc zrobiła?

LIONNETTA. Zrujnowałam cię.

JAN. Tylko tyle.

LIONNETTA. To dosyć.

JAN. Czy nigdy nie pomyślałaś...

LIONNETTA. O czem?

JAN. O innym.

LIONNETTA (*śmiejąc się*). Szalony! Zawsze troche nim byłeś! Wprawdzie, gdyby było inaczej, nie byłbyś się ze mną ożenił.

JAN. Szalony, lub nie, odpowiedz mi.

LIONNETTA. A więc bądź spokojny; nigdy nie pomyślałam o innym.

JAN. A gdybym umarł, gdybym się zabił, gdybyś została wdową i ten człowiek, ten milioner, oryginał chciał się z tobą ożenić, czy poszłabyś za niego?

LIONNETTA. Tak daleko jeszcze nie jesteśmy.

JAN. Kto wie? Tymczasem człowiek ten kocha cię i nie czekając mej śmierci, pragnie być kochanym przez ciebie. Widziałaś to równie dobrze, jak i ja.

LIONNETTA. Którażby z kobiet nie widziała tego? Zapytaj tych, którym nigdy nie powiedziano, ani nie dano poznać, że są kochane, co one myślą o życiu. Naszem marzeniem jest słuchać miłosnych wyznań, naszą sztuką umieć je zrozumieć, naszym rozumem i siłą, nie wierzyć w nie.

JAN. Czy on wyznał ci swą miłość?

(C. d. n.)

Kronika zagraniczna.

Wiktor Hugo zaczął ośmdziesiąty rok życia dnia 26. lutego r. b. Cieszy się on mimo sędziwego wieku, czerstwością sił i dobrem zdrowiem. A jednak, gdy przyszedł na świat wątpiono, aby się wychował. Mając rok jeden nie mógł podnieść glowy, tak był wątłym. Poeta mówi, że „uparta matka dała mu podwakroć życie.“ Jej to czułym staraniom zawdzięcza najprzód Wiktor Hugo swoją krzepkość — a następnie własnej wstrzemięźliwości. W latach młodzieńczych stale unikał wszelkich nadużyć, któreby mogły wpłynąć szkodliwie na fizyczny rozwój organizmu. Dla utrzymania licznej rodziny pracował wiele, dzieląc swój czas na pisanie, i na długie przechadzki dla ruchu. Nigdy nie palił i nic nie pił, prócz wody lekko zabarwionej winem. Również umiarkowany był w jedzeniu. Ten wielki poeta wykwintny, namiętny — mówi jeden z dzienników paryskich — należał zawsze do najstateczniejszych obywateli pod każdym względem. Nie zepsuły go piekne damy arystokratyczne z przedmieścia Saint-Germain swemi pieszczotami, ani zwichnęło towarzystwo złotej młodzieży z pierwszych lat restauracji. Młody poeta w obec otaczających go pokus, umiał zachować wzorową równowage. Skłonności do literackiego cygaństwa nie okazywał nigdy. Wiecznie poważny i rozważny, posiadał surową trzeźwość Marka Aureliusza i Napoleona I

Tworząc dużo i ciągle Wiktor Hugo pisywał nietylko w ciągu dnia, ale i w nocy, a co większa, bez światła. Udając się na spoczynek kładzie zawsze przy łóżko papier, pióro i atrament. Skoro mu przyjdzie do głowy myśl, lub wiersz jaki — natychmiast w ciemności bierze pióro i zapisuje,

Wszystkie własnoręczne rekopisy dzieł swoich zachował w całości, do druku zaś oddawał kopie wykonane przez kogo innego. Na rękopisach znajdują się szczegółowe daty z których dowiadujemy się np., że „Kromwela“ ukończył we trzy miesiące; „Notre-Dame de Paris“ we cztery miesiące i pół; „Marion Delorme“ we dwadzieścia cztery dni; akt czwarty tegoż dramatu napisał w ciągu jednej doby; „Hernianego“ we 26 dni; „Le roi s'amuse“ we 20 dni; „Ruy Blas'a“ mającego pierwotnie tytuł: „La reine s'ennie“ we dwa miesiące i trzy dni; „Burgrafów“ w 39 dni. Rękopisy są czyste i zaledwie gdzie niegdzie małe znajdują sie w nich poprawki.

Tysiączna rocznica istnienia Węgier ma być obchodzona z wielką uroczystością. Zostanie wezwany do udziału sejm węgierski. Na odbytej w tych dniach naradzie uchwalono także skłonić magistrat do zawotowania funduszu w kwocie 25.000 guldenów na pomnik św. Szczepana, oraz prosić prymasa węgierskiego i prezesa ministrów, aby objęli kierownictwo sprawy jubileuszowej i ustanowili w tym celu komitet.

Koleje serbskie. Wiadomo, że upadek „Union Générale“ naraził rząd serbski na utratę kilkunastu milionów fr. i na przymusowe zaniechanie dalszej budowy kolei serbskich, którą prowadził p. Bontoux. Po cało-miesięcznych trudach udało się nareszcie ministrowi serbskiemu, panu Mijatowiczowi przyprowadzić do skutku w Paryżu utworzenie się nowego Banku we Wiedniu, powstałego z koalicji wiedeńskiego „Laender-Banku“ i paryskich Towarzystw finansowych: „Comptoir d'Escompte“, „Crédit Industriel“ i „Société des Depots.“ Siedzibą nowego Banku, z dotacją pierwiastkową 50 milionów, będzie Wiedeń Nowy zakład finansowy nosić będzie nazwę: „Eisenbahn Bank , albo „Immobilien-Bank.“ Hr. Ludwik Wodzicki, gubernator „Laender-Banku“, bawił w tym celu w Paryżu. Układ został dnia 26. z. m. zawarty. Jest to rzeczą niemałej doniosłości politycznej, iż budowa kolei serbskich dostała się w ręce półurzędowego banku austryjackiego.

Nowiny literackie i artystyczne.

W Krakowie z drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego wyszła broszura Dra Konstantego Hoszowskiego p. t. *Kościół katedralny, jego instytucje, szkoły starożytnicze, szczegóły życia i obyczajów wyższego kleru wreszcie dawnie mieszkańcy na Wawelu.* Autor, sędziwy senator byłej Rzeczypospolitej Krakowskiej, którego niedawno podawaliśmy w „Dzienniku dla Wszystkich“ wizerunek i życiorys, znany jest zaszczytnie, jako autor wielu cennych naukowych prac, które go wprowadziły w pośród członków Akademji Umiejętności. Powyższa praca jest jasnym i trzeźwym zarysem historycznym, w którym spotyka się wiele nieznanych, a ciekawych szczegółów.

O Dziadach Mickiewicza, odczyt prof. Dr. Kosiby wygłoszony w Tarnopolu w rocznicę zgonu Mickiewicza, wyszedł drukiem nakładem zarządu nauczycielskiej bursy tarnopolskiej.

ROZMAITOŚCI.

Wyrachowano, że od wynalazku druku ogłoszono około cztery tysiące milionów książek. Jeśli każde dzieło w przecięciu w 300 egzemplarzach wytłaczano, każda książka miała choćby tylko cal grubości, to stawiając je rzędem jednę obok drugiej, możnaby niemi trzy razy ziemię pod równikiem opa ać. W samym Paryżu wychodzi obecnie około 200 książek i broszur tygodniowo, a zatem przeszło 10.000 rocznie.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Autorom wierszy: „Czyja wina“, „Ostra odpowiedź“ i „Oj ty filutko“ — utwory panów drukowane nie będą.

P. K. K. w R. Czasem najlepsza odpowiedź, nic nie odpowiadać.

P. Luli we L. Panieńskie sprawy są ciekawe, ale wiersze bardzo rzadko...

P. W. D. w Krakowie. Politycznych przeglądów nie umieszczamy.

Odpowiedzialny wydawca i redaktor: Jan Chechliński. Z drukarni K. Pillera.